

## Alfie Evans

Kiedy lekarze twierdzą, że jako przedstawiciele nauki wiedzą, kiedy należy pozbawić kogoś życia, to zapala mi się czerwona lampka. Każdy, kto odrobinę pamięta historię XX-wiecznej medycyny (i szerzej nauk przyrodniczych), wie ile cierpienia i ofiar uzasadniały tzw. metody naukowe. Zwłaszcza w kwestiach opinii na temat „życia niegodnego życia” – pisze Dariusz Karłowicz w felietonie na łamach tygodnika „Sieci”.

Kto ma choćby zielone pojęcie o metodologii nauk przyrodniczych musiał być bardzo zaskoczony dogmatycznym tonem przedstawicieli Szpitala Dziecięcego Alder Hey w Liverpoolu. Jak wiadomo medycyna jest nauką empiryczną – uogólnia dane zebrane w doświadczeniach. Im więcej danych tym większe prawdopodobieństwo trafności diagnozy (i prognozy), ale nawet przy bardzo wielu zbadanych przypadkach – z samej natury metody indukcyjnej – o pewności stuprocentowej nie może być mowy.

Dlatego jednoczesne twierdzenie, że Alfie Evans cierpi na nieznaną chorobę neurodegeneracyjną i utrzymywanie, że o jego stanie wiemy wszystko (a w każdym razie dość dużo by w majestacie prawa i nauki zakazać podtrzymywania go przy życiu) wydaje się – najdelikatniej mówiąc – niespójne. I żeby było jasne nie chodzi mi o rokowania

wyzdrowienia, ale właśnie o ton absolutnej pewności, która nie ogranicza się do opinii – wybór pozostawiając rodzicom – ale żąda wykonania wyroku śmierci.

Rzecz tym dziwniejsza, że jak pamiętajmy w samym środowisku lekarskim daleko było do jednomyślności. Nakaz odłączenia chłopca od aparatury podtrzymującej życie przy jednoczesnym zakazie przewiezienia go do Włoch wywołał zdumienie również wśród lekarzy. Apel Medical Ethics Aliance podpisany przez kilkuset uczonych i lekarzy mówił o „medycznej i państwowej tyranii”. Mocne słowa. Trafiające w sedno.

*Znajomość przypadków i skuteczności rozmaitych kuracji pozwala odpowiedzieć jak leczyć, ale nie udziela odpowiedzi na pytania fundamentalne*

Kiedy lekarze twierdzą, że jako przedstawiciele nauki wiedzą kiedy należy pozbawić kogoś życia, to zapala mi się czerwona lampka. Każdy, kto odrobinę

pamięta historię XX-wiecznej medycyny ( i szerzej nauk przyrodniczych), wie ile cierpienia i ofiar uzasadniały tzw. metody naukowe. Zwłaszcza w kwestiach opinii na temat „życia niegodnego życia”. Ciesząca się wielką powagą eugenika, którą usprawiedliwiano masową eksterminację czy sterylizację, to tylko jeden z przykładów na długiej liście zbrodni uzasadnianych przez opętanych pychą uczonych.

Nauka empiryczna nie jest zdolna rozstrzygać kwestii wartości. Znajomość przypadków i skuteczności rozmaitych kuracji pozwala odpowiedzieć jak leczyć, ale nie udziela odpowiedzi na pytania fundamentalne. Pytania o sens i wartość życia to kwestie właściwe dla filozofii i religii. Nauka empiryczna nie ma tu nic do powiedzenia. Po prostu nie ma instrumentów do badania tych kwestii.

Drugą sprawą jest kwestia wszechwładzy państwa.

Śledząc dramatyczne losy rodziny Evansów wielu z nas zadawało sobie pytanie: co szkodziło zgodzić się na proponowane przez rodziców rozwiązanie? Dlaczego nie zaakceptowano propozycji papieża Franciszka i włoskich lekarzy, żeby przewieźć chłopca do szpitala, w którym chciano się nim zajmować? Twierdzenie, że chodziło o dobro chłopca brzmi jak makabryczny dowcip.

Widać doskonale, jaką władzę posiadają dziś sądy. To instancja przed którą musi ustąpić nawet władza rodziców. Z jednej strony lekarze i ich niezmacona pewność siebie z drugiej sędziowie obdarzeni władzą decydowania o życiu i śmierci.

*Sławny eksperyment Stanleya  
Milgrama pokazał jak silnie  
działa na nas autorytet  
człowieka w białym fartuchu*

W oficjalnym  
dyskursie naukowcy i  
sądy reprezentują  
perspektywę  
obiektywną –  
nieskażoną

emocjami i stronniczością. Mają być – jak się powiada – neutralni, niezaangażowani po żadnej stronie. Czy gdzieś wyraźniej widać fikcję neutralności i polityczno-ideologiczne zaciętrzewienie? Czy zdumiewający wyrok sądu można wyjąć z kontekstu ideologicznego zaangażowania sędziego Anthony Haydena, który jest działaczem The Bar Lesbian and Gay Group (BLAGG).

Widać tu doskonale skutki destrukcji autorytetu przed-prawnego. Jeśli jedynym autorytetem ma być prawo, a dokładniej jego wykładnia przyjęta przez członków grupy posiadającej nieomal nieograniczoną władzę nad wszystkimi dziedzinami życia – to głos Kościoła czy rodziny nie może się liczyć. W imię praworządności wprowadzana zostaje sędziokracja. Oto jak wygląda prawdziwy koniec kulturalnej rewolucji 68’.

Walka z autorytetami miała zwiększyć obszar wolności indywidualnej. Prawo – przekonywano – miało zastąpić opresyjny autorytet rodziny, tradycji, Kościoła. Tymczasem okazało się, że po zdemolowaniu wszystkich konkurencyjnych i autonomicznych źródeł norm – stanęliśmy w obliczu nowej dyktatury – wszechwładzy prawodawców i interpretatorów prawa.

Jeden z lekarzy ze Szpitala Dziecięcego Alder Hey w Liverpoolu powiedział, że przypadków podobnych do historii Alfiego Evansa jest wiele, ale rodzice zwykle współpracują – czytaj – zgadzają się z wyrokiem lekarzy. Pytanie brzmi czy dzieje się tak dlatego, że są tak rozsądni, czy może dlatego że są tak posłuszni? Sławny eksperyment Stanleya Milgrama pokazał, jak silnie działa na nas autorytet człowieka w białym fartuchu. U bardzo wielu zdolny jest wyłączyć rozum i serce.

W pewnych warunkach autorytet uczonego potrafi zamienić nas w stado baranów – a raczej – watahę wilków. Dobrze o tym pamiętać. Dlatego kiedy naukowcy i sędziowie jednym głosem mówią „śmierć” – warto mieć serce i rozum w pogotowiu. Serce, rozum i sporą szczyptę nieufności.

Felieton ukazał się w tygodniku „Sieci” nr 24/2018.